

Vulgaris

Bolo wyciągnął się jak długi na kozetce. A raczej większa część Bola, bo nogi od połowy łydki wystawały poza mebel, a wielgachne stopy w biało-czerwonych adidasach sterczały niczym chorągiewki na zbyt długim ładunku w samochodzie, rzecz jasna w odwrotnym kierunku.

Bolo po pionizacji prezentował wiele argumentów, przy wzroście stu dziewięćdziesięciu dwóch centymetrów i wadze stu dziesięciu kilogramów. Głównymi, często przynoszącymi sukcesy w licznych barowych i pozastadionowych dyskusjach, były dwie olbrzymie i mocne pięści. Niejeden oponent po wymianie argumentów z Bolem miał wrażenie zetknięcia się z dwoma pustakami. I niejeden musiał przystać na taką argumentację.

Niestety, Bolo miał jedną poważną wadę. Nie potrafił przeklinać, to jest sypać wulgaryzmami, obelgami i kuchenną łaciną. Po prostu miał jakąś wewnętrzną blokadę gdzieś w zakamarkach hipokampa, tudzież w ośrodkach płatów czołowych.

Nie pozwalało mu to wznieść się na odpowiednio wysokie miejsce w hierarchii podobnych mu przedstawicieli *homo sapiens*. No bo jak tu wzbudzać respekt i szacunek, kiedy przy konfrontacji dochodzi do rytualnych soczystych wyzwisk, a Bolo rzuca wtedy na przykład: Ty głąbie kapuściany, niech cię gęś kopnie!

Czara goryczy przelała się w młodym ciele Bola podczas ostatniego wypadu na piwo. W tym czasie, w trakcie sączenia browarów przeplatanego ostrymi wiązkami przekleństw, do pubu zawitała ekipa kibicująca wrogiej drużynie z drugiego końca miasta.

Bolo gotów był oddać ducha za swoje ideały, a jako najlepszy argumentator, wystąpił, by zmierzyć się ze swoim antagonistą. Kiedy jednak ich twarze prawie zetknęły się ze sobą na pobliskiej łące, Bolo wydyszał nagle: Motyla noga!

Przeciwnik zdębiał, nie od razu przesyłając po synapsach ów wojowniczy okrzyk, a kiedy już doszło do współpracy istoty białej z szarą, parsknął śmiechem i nie mógł przestać. To łapał się za brzuch, to klepał po udach, plując śliną dookoła i rechocząc basowo, dopóki Bolo jednym prostym argumentem „na raz z bańki” nie wcisnął mu uśmiechu z kawałkami zębów do gardła.

Jednak okazało się to kruchym zwycięstwem i nawet niedawni kompani odsunęli się od niego. Co to za gość, co nie potrafi porządnie przeklinać.

– I dlatego, pani doktor, potrzebuję pomocy – wystękał Bolo, gapiąc się w sufit. – Poczytałem trochę i wydaje mi się, że mam coś jak zespół Tourette’a, tylko dokładnie odwrotnie.

– Rozumiem. – Na twarzy psychiatry nie drgnął ani jeden mięsień. Splotła dłonie, a potem, przechodząc do kolejnego terapeutycznego kroku, zrobiła z nich piramidkę. – Dojdziemy do przyczyny tego wielce ciekawego zjawiska, ale najpierw zobaczmy, jak to wygląda w praktyce.

– To znaczy? – zaciekawiał się Bolo, wciąż studiując biały sufit.

– Zamknij oczy, rozluźnij się, przestań myśleć i słuchaj. – Monotonny, ale przyjemny dla ucha głos terapeutki działał rozluźniająco i uspokajająco. Bolo bez problemu poddawał się poleceniom.

– Wyobraź sobie, że trzymasz w lewej dłoni gwóźdź i przykładasz go do listewki.

– Trzymam.

– W prawej dłoni masz młotek, unosisz go w górę.

– Uniosłem.

– Teraz bierzesz mocny zamach i uderzasz młotkiem...

– Uderzam.

– ...w swój palec. Co mówisz? – rzuciła szybko psychiatra, nie dając czasu do namysłu.

- Ała!
 - Skup się, wyraż swoje emocje, ból i gniew, jak prawdziwy facet.
 - O kurde balans! Ja cię kręcę, ale boli!
- Kobieta ani jednym grymasem nie okazała prawdziwych emocji, ale wyprostowała się i zmieniając ton głosu powiedziała:
- No dobrze. Pierwsze koty za płoty. Przechodzimy do czegoś mocniejszego. Ma pan dziewczynę, panie Bolo?
- Pacjent zaczerwienił się, usiadł i wydukał, starając nie patrzeć na seksowną czterdziestolatkę:
- No, wie pani, nie chciałbym być niegrzeczny, ale jest pani dla mnie, no, za... stara.
- Perfekcjonizm lekarza nie pozwolił nawet na uniesienie brwi, czy najmniejsze drganie w kąciku ust.
- To teraz połóż się znowu. – Bolo wypełnił polecenie. – Zamknij oczy, wyobraź sobie Pamelę Anderson trzydzieści lat temu...
 - Kogo?
 - Tę biuściastą aktorkę ze „Słonecznego patrolu”.
 - Z czego?
 - No dobrze, pójdziemy na skróty. Wyobraź sobie dziewczynę z twoich marzeń.
 - Mmmm... mam.
 - Teraz wyobraź sobie, że to twoja dziewczyna.
 - Mmmmm... spoko.
 - Wracasz do domu, niesiesz jej bukiet przepięknych czerwonych róż, wchodzisz do sypialni a ona... – przerwała na moment – gzi się w waszym łóżku z twoim najlepszym kolegą. – Co robisz? – rzuciła szybko.
 - Używam swoich „pustaków” i przyklejam jego ryja do ściany.
 - Wyraż to słowami!
 - Plask! Trach! Bum!
 - Nie, no naprawdę? – z zażenowaniem zapytała terapeutka.
 - A nie, przepraszam, nie ta kolejność: Bum! Trach! Plask!
 - Wykrzycz swoje emocje, daj im upust!
 - Rany Julek! O, kurczaki, ty huncwocie! Ale z ciebie frajer-pompka!
- Po tych okrzykach zapadła chwila krępującej ciszy.
- Bolo czekał na dalsze instrukcje, ale gdy się nie doczekał, uniósł głowę i spojrzał w niebieskie oczy wpatrujące się w niego z niejakim zdziwieniem.
- No, dobrze. – Lekarka klasnęła w dłonie. – Przejdźmy dalej.
- Wyciągnęła z drukarki kartkę papieru i szybko coś namalowała. Następnie chwyciła i niczym transparent skierowała w stronę pacjenta. Na białym tle widniało w szeregu osiem gwiazdek, z przerwą po piątej.
- Czytaj! – padło znad kartki.
 - Ale, no nasypali piasku, pani doktor, ja się do polityki nie mieszam.
 - Teraz to już żadna różnica – polityk, aktor, dyrektor, wszyscy przeklinają, nawet dzieci w podstawówce potrafią dosadniej rzucić mięsem niż ty. Ba, nawet w poezji nierzadko spotyka się wulgaryzmy.
 - O, poezja – zadumał się Bolo. – Dla mnie to coś wzniosłego, nieuchwytnego, pięknego, nie powinno się tego brukać byle przekleństwem. No, może Fredro czy Tuwim, ale to trzeba tak, jak oni, z klasą. Gdzie tam jakieś dosadne słowo u Szymborskiej czy Miłosa.
 - To ty znasz Szymborską i Miłosa? – Pierwszy raz terapeutka wyszła ze skorupy i wykazała prawdziwe zainteresowanie.
 - E, gdzie tam! – Pobłaźliwie rzucił okiem w stronę rozmówczyni. – Przecież oni już nie żyją – wycedził, przesadnie akcentując ostatnie słowa.
 - Miałam na myśli ich twórczość. – Psychiatra ponownie schowała się za maską zimnego profesjona-

lizmu.

– No, nie żeby tam coś sam, jak byłem mały ciotka mi czytała, chciała żebym wyrósł na ludzi. Ale dobrze mi się przy tym zasypiało.

– I uważasz, że w poezji nie ma miejsca na wulgaryzmy? Może spróbuj coś zrymować z przytupem.

– Eee... – Machnął ręką i niebezpiecznie skrócił dystans, przysiadając na rogu kozetki. Pochylił się, górując nad terapeutką i wyszeptał z błyskiem w oczach:

– Marzę o tym, że ludzie będą potrafili ze sobą rozmawiać, tak jak ja, bez przeklinania, wyzwisk, obrzucania błotem – zatoczył ręką wokół siebie – że będzie można kulturalnie komuś dać w ryja bez niepotrzebnych brzydkich wyrazów. Po co to, pani doktor?

Zapytana przez chwilę siedziała nieruchomo, a jej oblicze nie zdradzało żadnych emocji. W końcu wstała, energicznie poprawiła zakiet, strąciła niewidoczny pyłek z ramienia i rzuciła sucho:

– Bierzmy się do pracy, na razie idzie zbyt wolno.

Przez następne czterdzieści pięć minut wypróbowali kilkanaście nowych metod, w pocie czoła u Bola i w niezmiennie eleganckim i profesjonalnym imidżu lekarki.

Po prawie godzinnej sesji w końcu dało się słyszeć:

– Ja pi pi pi (tu kulturalny czytelnik wstawia swoje własne ulubione grube słowa), ty pi pi pi (i kolejne, czerpiąc z jakże bogatego polskiego słownika wulgarnych epitetów), pi pi pi!!! – wykrzyczała spocona i czerwona kobieta, ostoją spokoju i opanowania.

Wróćmy jednak do momentu poprzedzającego ten wspaniały słowotok.

Bolo po kolejnej nieudanej próbie, litując się nad lekarką, rzucił niby od niechcienia, kierując wzrok w podłogę:

– Ja chyba wiem, kiedy to się u mnie zaczęło.

W tym momencie terapeutka zawiesiła swój profesjonalizm na kolek, niczym sędzia togę i dosadnie wyraziła zachwyty nad owym przełomowym stwierdzeniem, o czym już powyżej było. Kiedy łapiąc oddech usiadła ponownie w fotelu, ponaglany ruchem ręki Bolo zaczął wynurzenia.

– Kiedy miałem cztery lata, obudziłem się w nocy w Wigilię. Jakiś szmer i głuchy łomot doszedł mnie od strony nóg mojego łóżka. Kiedy zapaliłem lampkę, ujrzałem Świętego Mikołaja trzymającego się za paluch i przeklinającego okrutnie.

– Mikołaju?! – zdumiałem się. – To ty tak brzydko mówisz?! I wtedy mój tato, o czym wtedy nie wiedziałem, przebrany za Mikołaja, wypowiedział te wymowne słowa:

– Dziecko, jeśli chcesz kiedykolwiek jeszcze dostać prezent od Świętego Mikołaja, pamiętaj, nie wolno ci przeklinać. Inaczej nawet różgi nie zobaczysz, pamiętaj, ho! ho! ho!

– I chcesz powiedzieć, że dalej wierzysz w Mikołaja? – Ponownie pojawiła się piramidka z dłoni, wrócił profesjonalny ton.

– Nie, pewnie, że nie, ale tak się tym przejąłem, że teraz ani rusz nie mogę się odblokować i dlatego przyszedłem do pani doktor.

– No, dobrze. – Wstała i wyciągnęła dłoń na pożegnanie. – Spróbujemy na następnej sesji, teraz już będzie z górki.

– A ile płacę?

– Trzysta pięćdziesiąt złotych.

– Osz k..wa!!!

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Carvedilol, dodano 19.11.2020 11:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.